Dnia 29 Marca 1903 r.

Wojewódzka Biblioteka Pu... Nr 5984c

Raz na tydzień

— Wiosna idzie!... Wiosna już jest!...

Napisawszy te niewinne wyrazy, przestraszyłem się.

Po pierwsze: wiosna kalendarzowa może skrewić i feljeton wpaść może w ręce czytelnika — ze śniegiem (nie wierz marcowi!); po wtóre: rozpocząłem pogawędkę w najbanalniejszy sposób — od pogody; po trzecie: widzę już jednego z kolegów moich, jak się zżyma przy redakcyjnym biurku i jęczy:

– Jak ci feljetoniści wraz z poetami piłują niemiłosiernie tę nieszczęśliwą wiosnę! Jak gdyby nie było nic ciekawszego na świecie... Zaiste, powiadam wam, jesteście w czambuł banalni... Wiecznie to samo w kółko ..

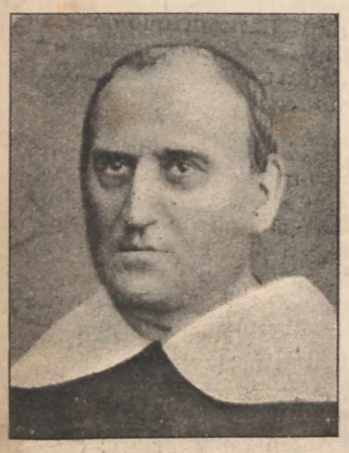

Ojciec Embriaco,
znakomity matematyk

Mea culpa! Biję się w piersi, ale mimo to powtarzam sobie dla pociechy:

— Tak, może to banalne, ale banalnem jest słońce, które „wiecznie w kółko“ powraca do punktu równomiernego, banalne są pąki drzew, które pęcznieją świeżemi sokami i lada chwila trysną szmaragdową fontanną liści; banalnym jest i ten kwiatek pierwiosnka i ten pęczek modrych przylaszczek, które mi w tej chwili ozdobiły biurko; banalną jest ta głębia którą widzę ze swego okna — szara jeszcze lecz już różowiejąca w słońcu; banalnem jest wreszcie to serce ludzkie, które choć zwiędłe i znużone, drży jakoś radośnie i szepce: Znów powraca!... Może ostatni raz! Witaj!...

Ks. Wawrzyniec Perosi.

W tem otoczeniu nie żal stać się banalnym i nie dziwię się też Ruskinowi ani Tołstojowi, że nie ulękli się banalności rozkochania się w naturze. Myśl ludzka i serce ludzkie, mimo wykrzywionej złośliwie twarzy Satyra, skandować będzie zawsze w takt syrynksu, na którym wygrywa Zefir wiosenny, lub prostej fletni pastuszej jamby i trocheje Teokryta, Anakreonta, Horacego, albo choćby „wiecznie to samo“ mazurskiego lirnika:

„Stopniały już śniegi, spłynęły już lody
I rzeka porusza się gładko...“

To tak miło, tak dziwnie rozkosznie stwierdzić znane fakta, przebiedz okiem znane od kolebki obrazy, choć oko już spłowiało i przygasło nieco. Więc nie cofam słów, które mi się z ust zerwały, i wpinam je na czoło feljetonu, jak dzwonek skowrończy. Niech one każdemu zbudzą echa w piersi, różne może, lecz zawsze słodkie, jak promień pogody i błysk nadziei:

— Wiosna idzie!..

Wiosna i młodość — to synonimy; pomówmy tedy o młodzieży.

Czytelnicy moi zapewne przypominają sobie, jak gorącym byłem zawsze zwolennikiem wychowywania młodzieży na łonie natury. Moją ideą „fixe“, którą przeprowadzałem systematycznie w artykułach i feljetonach od lat kilku, oraz w dostępnych mi kołach pedagogicznych jest szkoła w mieście z ogrodem i zakłady wychowawcze na wsi. Ułożyłem nawet z pozoru żartobliwy, a w gruncie poważny i zupełnie seryo program „Szkoły w krainie Utopii“, gdzie matematyka szłaby na zmianę z lekcyą jazdy konnej, nauka języków z lekcyami pływania (nie po piasku! ..), historyi z szermierką, nauk przyrodniczych z pracą ręczną w ogrodzie. Nie są to zresztą żadne fikcye, albowiem szkoły podobne istnieją w Anglii

Ernest Legouvè,
zmarły członek akademii francuzkiej.

Będąc też gorącym apostołem „szkoły z ogrodem“ i „szkoły na wsi“, nie rościłem sobie pretensyi do wynalezienia czegoś nowego, wiedziałem bowiem nietylko o daleko wcześniejszych u nas pomysłach, ale i realnych projektach tego rodzaju. Pomiędzy innemi, lat temu około 15 tu, gdy istniała szkoła Benniego, w gronie pedagogów powstała myśl utworzenia rodzaju internatu na wsi dla chłopców. Projekt ten, jak i inny, daleko późniejszy, natrafił na trudności formalnej natury i urzeczywistnić się nie dał.

Teraz dowiaduję się z *Gazety Polskiej*, że wieść o założeniu gimnazyum w Zakopanem wywołała znów na porządek dzienny sprawę otworzenia u nas zakładu naukowego na wsi, a nawet zainteresowała naszych ziemian.

„Najdalej — czytamy — posuwa sprawę p. M. Poleski z Rokitna w gub. piotrkowskiej, proponując na szkołę miejscowość Rzętkowice, położoną śród skał i lasów, a wzniesioną na 400 metrów nad poziom morza. Miejscowość ta odległa jest o wiorst 16 (szosą) od st. Myszków kolei warszawsko-wiedeńskiej, o 10 zaś wiorst od Zawiercia. Tam — pisze p. P. – „mogę ofiarować parę morgów na postawienie domu dla dzieci i szkoły“, przyczem zaznacza, że „budynki znalazłyby się w otoczeniu naturalnego parku, jaki tworzą buki, graby i sosny, obficie rosnące na tej parceli w położeniu bardzo malowniczem, śród skał takich, jak w Ojcowie i Złotym Potoku.“

Jak widzimy, sprawa przybiera formy realne, ale do urzeczywistnienia jej wciąż jeszcze daleko. I piszący te słowa, który, mówiąc nawiasem, jest także pedagogiem, spotykał się z zachętą w danym kierunku i otrzymywał oferty oraz zapewnienia co do przyszłych wychowańców, jednakże nie posunęło to sprawy. Nie przesądza to jednak, iżby nowa inicyatywa nie miała być szczęśliwszą. Życząc też jej szczerze powodzenia, chciałbym z tego powodu pomówić jeszcze słów kilka.

Wobec dzisiejszej reakcyi na rzecz wychowania fizycznego młodzieży, uzasadniać potrzeby zakładu na wsi chyba nie potrzeba. Nietylko w danym razie pozyskanoby wpływy nieskończenie dobroczynne natury na ciało i duszę dorastających pokoleń, ale usunięto by wysoce antypedagogiczne działanie miasta.

Co prawda, internat wiejski byłby na początek dostępny tylko dla młodzieży zamożniejszej, ale z czasem zakłady mogłyby się upowszechnić i udostępnić. Zresztą ta finansowa strona zeszłaby z pewnością na bok, wobec zysków moralnych i hygienicznych. I tak wiele rodziców z prowincyi zmuszonych jest wysyłać dzieci do miasta i umieszczać je na drogich nieraz „stancyach“, koszt zatem nauki albo pozostałby ten sam, albo by się zwiększył nieznacznie.

Powiedziałby kto może, iż strona naukowa i systematyczność straciłaby na takich 10-miesięcznych wakacyach na wsi. Bynajmniej! Mam na to odpowiedź w charakterystycznych zwierzeniach anglika, oraz we własnem doświadczeniu. Ów anglik, o którym mówię, obecnie inżynier w dokach londyńskich, wychowywał się przy rodzinie w Warszawie i tutaj skończył szkoły średnie.

— Gdym przybył do Oxfordu—zwierzał się— zdawało mi się, iż posiadam znacznie więcej balastu naukowego, niż moi koledzy, tylko ustępowałem im pod względem rozwoju fizycznego. W krótkim jednak czasie zostałem zdystansowany przez silniejszych swoich kolegów i nigdy ich dogonić nie mogłem. Byli oni świeżsi i lepiej rozwinięci fizycznie oraz umysłowo.

Tak wypadło porównanie dwóch systemów szkolnych.

U nas jednak szkoła w mieście lub na wsi musi pozostać tą samą szkołą, bo niepodobna myśleć o ruinacyi programu. Ale zobaczmy, jak dzieci uczą się na wsi

Gen. Macdonald.

Rok rocznie mam na wakacyach gromadkę uczniów: synów moich i ich kuzynów. Nie próżnujemy zupełnie, lecz uczymy się, robiąc zapas na przyszłość, t. j. przechodzimy kurs klasy następnej zgodnie z programem Na robotę taką, aby nie psuć wakacyj i dać czas na odpoczynek, poświęcamy oczywiście minimum czasu 1—2 godzin dziennie, przeplatając naukę jazdą konną, pływaniem, spa-

cerami do lasu po grzyby, zabawą, bieganiem etc. A oto rezultaty: Nie zdarzyło się ani razu, abyśmy w ciągu 2—2½ miesięcy nie zdążyli przejść *całorocznego* kursu matematyki, języków starożytnych i t. d. Wprawdzie jest to robota z kilku uczniami, a nie z całą klasą, ale daje pojęcie, jak łatwo w dogodnych warunkach umysł młodzieńczy przyswaja sobie wiedzę. A warto zobaczyć, jak wyglądają po wakacyach chłopcy! Urośli, zmężnieli, opalili się, nabrali jakiejś pewności siebie, świadomości swych sił i swych uzdolnień, nie mówiąc o tem, że prócz wiedzy teoretycznej i suchej spotkali się oko w oko z naturą, źródłem tej wiedzy, a nadto posiedli znajomość tak pożytecznych *praktycznie* wiadomości, jak pływanie, jazda konna etc.

To też, gdy wakacye się kończą, chłopcy wzdychają:

— Ach, gdyby ta szkoła mogła być na wsi. Jakbyśmy się uczyli!

Proszę zauważyć, że nie przeraża ich nauka, lecz szkoła z jej murami, szeregiem nużących godzin w klasie, z jej formalistyką i—nudą. A przecież pora letnia mogłaby daleko więcej odrywać ich umysł od książki i wywoływać „roztargnienie“, uniemożliwiające naukę. Mimo to zgłaszają się chętnie do książki, a czyniliby to tem więcej na jesieni lub w zimie, byleby ich nie przeciążano i wykłady urozmaicano odpowiednio. Jestem też pewny, że program nicby nie ucierpiał i jeszcze zostałoby dosyć czasu na jego uzupełnienia w zakresie wychowania fizycznego i wiadomości praktycznych.

Jeszcze więcej, niż dla młodzieży męzkiej, przydałyby się internaty wiejskie dla dziewcząt w wieku szkolnym. Pomimo poczynionych ostatniemi czasy pożytecznych reform w zakresie urządzenia szkół średnich żeńskich, wciąż jeszcze pensye (nawet we własnym gmachu, o ile ten jest bez ogrodu) stają się rozsadnikami blednicy, nerwicy i t. p. przypadłości. Nie należy zaś zapominać, że wątlejszy organizm niewieści łatwiej poddaje się wpływom ujemnym, i że tem fatalniej działa na nie pod względem zdrowotnym i moralnym duszna i zatęchła atmosfera miasta oraz murów szkolnych.

Miałem sposobność w tym względzie mówić z jedną z przełożonych. Kwestyę ogrodu przy szkole przesądza u nas w Warszawie brak ogrodów, które i tak ulegają tępieniu, oraz drożyzna placów. Dzierżawa jakiego odleglejszego ogrodu nie rozstrzyga praktycznie kwestyi. Postawiłem też niedawno nieco odmiennie sprawę:

— A co pani myśli o internacie wiejskim?

Przełożona zadumała się:

— Wie pan, nad tem należy się zastanowić, o ile kwestya sama pod względem formalnym jest do urzeczywistnienia.

Gdy więc dziś mowa jest o jednem, możeby nie zapomniano i o drugiem. Probować w każdym razie należy, a owocne usiłowania w danym kierunku byłyby wielką zasługą wobec karlejących i charłaczych pokoleń.

Jeszcze jedna uwaga. Sądzę, że na szkołę na wsi niekoniecznie potrzebne są skały i góry, ponieważ właściwie nie ma to być sanatoryum wyłącznie dla dzieci wątłych i słabowitych. Wystarczy miejscowość zdrowa z lasem, rzeką, ogrodem, łączką i całem otoczeniem wiejskiem. Ze względów praktycznych na początek należałoby szukać takiej miejscowości pod wielkiemi miastami, aby umożliwić i mieszczuchom korzystanie z zakładu. Zresztą względy formalne skłaniają także do takiego a nie innego wyboru. W tej też formie przed 15 laty wynurzył się pierwszy projekt pensyonatu za miastem i tak również projektowano go po raz wtóry niedawno.

Radzibyśmy niezmiernie usłyszeć opinię rodziców, co myślą o podobym projekcie i czy nie znaleźliby się ludzie dostatecznie poważni i wpływowi, którzyby mogli przyczynić się do jego urzeczywistnienia. Autor niniejszego, jako nieco świadomy kwestyi, nie uchylałby się od udzielania wskazowek w tej mierze.

Na zakończenie jeszcze słów kilka polemiki w odmiennym nieco przedmiocie. Szanowny mój oponent ks. W. Pogorzelski, z którym już raz skruszyłem pióro w dobrej sprawie, zastrzega się przeciw temu słowu, bo go, niestety, prasa warszawska przyzwyczaiła do tego, że wszelka polemika jest zbiorem przekąsów, złośliwości, przymówek osobistych, a nawet—wymysłów. Nie, szanowny ks. dobrodzieju! Można polemizować z całą godnością, z całym szacunkiem dla przeciwnika, choćby się jego poglądów nie podzielało, z dobrą wiarą i silnem przekonaniem, a gdyśmy taką polemikę raz zaczęli, to ją prowadźmy dalej, bo na tem tylko zyska dokładniejsze oświetlenie *res quaestionis*.

Przyznaję, że sprawa sklepów dworskich nie rozstrzyga i nie wyczerpuje kwestyi, albowiem dworów chętnych może być za mało. Ale to byłby doskonały początek. Zresztą, zdarzył może traf, że znamy dwie różne okolice kraju, gdzie sprawa przedstawia się odmiennie. Ztąd pewne sprzeczności w naszym poglądzie; u mnie zawiele optymizmu (wogóle przyznaję się do tego grzechu), a u mego oponenta — za wiele pessymizmu, choćby przypadkowego pod wpływem najbliższych faktów. Ale sz. ks. W. P. zgodzi się, że obadwaj zapewne nie mamy prawa uogólniać wniosków, a tylko notować fakty. Wartoby zaś było, abyśmy dla wyświetlenia sprawy zebrali ich więcej i poinformowali o nich publiczność. Wtedy wytworzyłaby się podstawa do szerszych wywodów.

Tak też zamierzam czynić podczas najbliższych wakacyj, kiedy się znów zetknę z ukochaną wsią i wiejską strzechą, a na współpracownictwo szanownego ks. W. P. z góry liczę. Potem zaś będziemy znów polemizowali ilością i doniosłością faktów. Tymczasem zaś niechaj dwory nie ustają na dobrej drodze, niech naśladują pożyteczne wzory, niech się tworzą spółki komandytowe, niech towarzystwa i syndykaty rolnicze nie odmawiają swej pomocy drobnym sklepikarzom i niechaj wreszcie prosperujące już sklepy chrześciańskie po miasteczkach biorą w opiekę sklepy wiejskie, nie traktując ich jako konkurentów, lecz jako swych naturalnych większych odbiorców. Mogą też one i powinny dzielić się z takiemi sklepami nietylko procentem, ale i informacyami kupieckiemi oraz nabytą praktyką handlową. Pisma ludowe powinny się zająć także tą sprawą i działać zachętą oraz informacyą. Że udział prasy wiele tu zdziałać może, dowodem tego powołanie do życia sklepów chrześciańskich po miasteczkach, co przecież wynikło z inicyatywy publicystów warszawskich. Swoją drogą, i kapłani po wioskach, jakkolwiek to nie wkracza w zakres ich działalności, mogliby nieraz posłużyć radą lub słowem zachęty.

Przecież i ks. W. P. jest kapłanem. a jednak interesuje się sprawami społecznemi, nie zamyka oczu na dobrobyt wioski, oraz na stworzenie lepszych warunków bytu wieśniaka. Jeżeli zaś jest trochę pessymistą, to „pessymizm“ ten jest dlań zapewne tylko bólem serdecznym...

Kończąc też niniejszą miłą „polemikę“ z całą otwartością powiadam:

— Bodaj się na kamieniu rodzili tacy polemiści, którzy tak pojmują obowiązki swoje kapłana i obywatela kraju

Mazur.

*

Dziewczę z błyszczącemi oczyma.

Godzina 8-ma wieczorem. Rozpłakało się niebo marcowe. Bruk obficie podlany ulewą, w blasku latarń gazowych stał się podobnym do zwierciadła używanego przez nasze kucharki: wszystko odbija w spaczonych, krzywych liniach

Na Krakowskiem Przedmieściu zwijam pospiesznie parasol ociekający wodą deszczową i wskakuję do tramwaju, przyczem, na szczęście, znajduję w przedziale „siedmiokopiejkowym“ miejsce wolne.

Moje przygodne towarzystwo, składają osoby niegodne baczniejszej uwagi. Jakiś „kupiec“ chałatowy, bardziej niż zwykle zakatarzony, jakiś robotnik który wolał dopłacić dwie kopiejki niż zmoknąć na przepełnionej galeryjce klasy tańszej, jegomość z koszykiem na kolanach, słowem ludziska nieciekawi.

Ach prawda; nawprost mnie, w półcieniu, szczelnie zawoalowana, rozsiadła się szczupła widocznie postać niewieścia.

Człowiek w moim wieku i z mojemi kłopotami rodzinnemi, nie trudzi umysłu zastanawianiem się nad wszystkiemi, spotykanemi na swojej drodze kobietami.

Tramwaj toczy się zwolna i pobrzękuje szybami, z których od strony zewnętrznej spływają cienkie strumyki deszczu.

Wciśnięty w kąt wagonu, rozpuszczam myśli.

— Gospodarz już trzy razy nasyłał stróża z kwitkiem komornicznym... Tadzio znowu przyniósł ze szkoły „pałkę“ z dyktanda... Że też słudze Joasi nie znudzi się napastować mnie żądaniami zasług za ubiegłe dwa kwartały... Ta siwizna przeklęta kompromituje mnie coraz bardziej przed zwierzchnikiem, który pozawczoraj wyraził się do starszego referenta:

— Nie wierzę w przytomność umysłu pracowników steranych wiekiem!

Zafundowałbym sobie farby do włosów.. dla dobra mojej rodziny, lecz wydatek przechodzi możność mojego budżetu.

Postać niewieścia zwolna, białą, wypieszczoną dłonią poprawia swoją zasłonę. Manipuluje paluszkami; na dwóch zauważyłem piękne pierscionki z kamieniami błyszczącemi. Dajcie mi dwa takie pierścionki, a ręczę iż gospodarz i Joasia skwitują mnie ze swoich pretensyi!

Nieznajoma odrzuciła zasłonę i utkwiła w mojej twarzy swoje czarne, przymknięte, wyraziste oczy.

Mąż i ojciec w mojem położeniu lekceważy spojrzenia pięknych kobiet, zwrócone na jego osobę, najbezmyślniej w świecie.

— Klitusia — myślę dalej — należałoby posłać do ciechocinka koniecznie... Przytem moje nieszczęśliwe, moje zbiedzone walką życiową buty, domagają się przeniesienia w stan spoczynku Zkąd ja na to wszystko wezmę pie...

— Za pozwoleniem, proszę tak nie trącać!

Przeważna liczba podróżnych tłocząc się nieprzystojnie, wysiada na przystanku. Deszcz pada z większą niż przedtem natarczywością.

W przedziale zostałem ja i ona, lecz cóż mnie to właściwie obchodzi?

Z tem wszystkiem to bardzo dziwne. Młoda i piękna kobieta smaga mnie literalnie swoim wzrokiem. Nigdybym nie pozwolił córce na podobną natarczywość, na podobne... Nie; to trudne do uwierzenia. Wierzcie lub nie wierzcie, lecz pomimo przenikającego chłodu, jestem zmuszony rozpiąć moje palto... Ależ to najwyraźniejsza zaczepka... Młoda dama nie tylko magnetyzuje mnie wzrokiem lecz zdaje się drwić z mojej nieśmiałości... Oto uśmiecha się niejednoznacznie i zsuwa łuki brwi, niezadowolona z mojego milczenia. Odruchowo budzą się we mnie instynkty oddawna pogrzebane na dnie mojej strapionej duszy.

Czy uwierzycie? Pod władzą tego wzroku płomienistego, podkręcam szpakowatego wąsa i przybieram pozę, która mojem zdaniem, powinna przedstawić mnie w najlepszem świetle...

— Tam do licha! —walczę z szatanem. — Też ci się przywidziało.. Szczęściem mój przystanek już niedaleko. Sąsiedztwo nieznajomej jest mi w najwyższym stopniu krępujące.

Robię ruch jak do wyjścia, ona to zauważyła i odzywa się głosem srebrzystym pospiesznie.

— Pan już wysiada?

— Albo co, proszę pani?

Prześliczne zjawisko robi minkę smutną czy zadąsaną i mówi tonem zawiedzionego dziecka:

— A ja myślałam, a ja marzyłam..

Fala ciepłej krwi osjada na mojej nadmarszczonej twarzy. Opadam całym ciężarem ciała na ławkę i odzywam się ze drżeniem w krtani:

— O czem pani marzyłaś, o czem?

— Że pan pojedzie dalej.

— Ulica Świętojerska! — woła konduktor.

Spojrzałem na niego, jak na człowieka pozbawionego zmysłów.

— Cóż mnie może teraz obchodzić ulica Świętojerska i przystanek, od którego w ciągu trzech minut znalazłbym się w domu? On mi przypomina ulicę Świętojerską w podobnej chwili!

Tramwaj posuwa się dalej. Ona zrozumiała mój postępek, moje przezwyciężenie potrzeby wyskoczenia na tym przystanku i śle mi, trudny do wysłowienia, słodki uśmiech.

— Więc pan mnie nie opuści?

Odrzekłem z zapałem dwudziestopięcioletniego pomocnika aptekarskiego:

— Pani, któżby takiego anioła!

I po chwili głębszych refleksyi:

— Nie jestem przewrotny, o nie! Szczególnie wobec ciebie nieziemskie widziadło, będę szczerym. Wiedz pani, iż jestem żonaty i dzietny, i bardzo dzietny!

Ona przyłożyła rączyny do kształtnych uszat:

— Nie mówmy o tem, nie, nie!

I jak gdyby pragnąc zapomnieć o treści moich zeznań, szczebiotała w dalszym ciągu:

— Pomimo to pan mnie nie opuścisz, pomimo to wszystko...

Do wagonu wszedł kontroler. Jak wiadomo, kontrolerów nie brak na żadnej z linii tramwajowych. Ukazują się ci ludzie w celu przerywania jadącym parom rozmów właśnie w miejscu, które najbardziej ich interesuje. Słyszałem od jednego z byłych oficyalistów tramwajowych, iż zarząd przed aktem ostatecznym przyjęcia kontrolera, żąda od niego na piśmie obietnicy, iż będzie przerywał rozmowy wszystkich młodych i przystojnych pasażerek. prowadzone z szalenie rozkochanymi w nich towarzyszami podróży.

Moja głowa paląła. Przed moim roziskrzonym wzrokiem migały latarnie gazowe otulone mgławicami deszczowemi.

Zasłuchany w ciche szepty jej słodkiego oddechu, mijałem kolejno przystanki na Nalewkach, przy ulicy Muranowskiej i Dzikiej.

Wreszcie wagon zatrzymał się ze zgrzytem centralnym.

— Powązki! — rzekł niedbale konduktor i ze

znacznym wysiłkiem tarmosił z pod nas poduszkę, którą niezwłocznie przeniósł do przedziału awansowanego na siedmiokopiejkowy.

Wysiedliśmy ogarnięci szumem ulewy i szmerem obnażonych drzew z przyległego cmentarza.

Niezwykle piękna kobieta sama ujęła mnie pod ramię i zawołała:

— Otwórz pan parasol!

Przy trzeciej bramie cmentarnej kończy się chodnik i rozpoczynają panowanie: ciemności wiejskie w połączeniu z błotem nadzwyczaj grząskim.

— Dokąd mnie wiedziesz niebianko? — zapytałem z wzrastającem wzruszeniem.

Ona milczała, co dodawało uroku naszemu sam na sam. Szła pospiesznie, ciągnąc mnie za sobą.

Idąc po omacku minęliśmy tor kolejowy. Przed naszym wzrokiem wynurzały się z ciemni potworne kopuły zbiorników naftowych.

— Więc kochasz mnie — szepnąłem namiętnie — więc to nie jest snem?

Usłyszałem w odpowiedzi:

— A teraz tu, około parkanu, ostrożnie, bo rów.

O dwanaście kroków ztąd stał dom z oknami oświetlonemi rzęsiście.

Mój ideał wysunął rękę z pod mojego ramienia.

— Dziękuję — rzekła zmienionym tonem, zarazem oschłym i uroczystym. — Już jestem w domu.

Odparłem z wielką ulgą.

— To świetnie. Wejdziemy do domu i...

— O, nie radziłabym panu. Mój ojciec trzyma psy nadzwyczaj złe, przytem jest impetykiem. Ach, jak on macha swoją grubą laską!

Oparty o parkan i osłabiony z powodu rozczarowania usłyszałem pożegnalne:

— Widzi pan, chodzę do miasta do szycia. Ponieważ młodej osobie włóczyć się samej wśród wertepów zarogatkowych, nie wypada, co wieczór powracając tramwajem robię znajomość z człowiekiem honoru i ten mnie odprowadza. Na pana wypadł dzisiaj wybór. Masz nietylko fizyonomię nacechowaną honorem, lecz i parasol. Dobranoc!

Moja nieznajoma znikła, ja zaś błądząc po ciemku, napastowany i obdarty przez opryszków, około północy dobrnąłem do domu.

Postanowiłem od tej pory, jeszcze bardziej niż przedtem nie zwracać uwagi na czułe spojrzenia kobiet nieznajomych i wszelkich innych.

F. R.

NA ZWIASTOWANIE.

(ze starych legend).

Ocknęła się ziemia po długim śnie zimowym, szarpnęła białym całunem, zgoniła mgliste welony z ciemnego jeszcze lica i jęła się do pracy.

Pracować zaczęła gleba, dysząc ciężko i okrywając się potem ros perlistych.

Pracowały drzewa, nabrzmiewając sokami i wzbierając pękami, w których rozwijały się młode liście. Przodem zaś szły wierzby i brzozy, niby przodownice na zagonie. Pierwsze ustrojone w „kotki“, jak perły; drugie w białych sukienkach z leciutko zieleniejącą kosą

Pracował bór, otrząsając z mchów resztę szronów, z soków resztę łez zimnych i pomrukując cicho.

Szedł szum ziemią, i polem i borem, i zdradzał wszędzie pracę; szły wonie i zapachy i zdradzały przyspieszony oddech natury.

Wiatr także pracował i szumiał. Zamiatał pole i bór, zgarniał wełnę obłoków z błękitu, budził senne jeszcze drzewa i rozpędzał tumany.

Najgłośniej jednak warczały strugi i rzeki. Wzdęły się one od nadmiaru wód, zalewały pola, popychały kamienie przed sobą i zapienione, zdyszane, pluskały rozhukaną falą, szumiąc nieustannie;

— Praca!... Praca!...

Uśmiechnęło się słońce do spracowanej ziem i rzuciło jej garść purpury, złota i błękitu.

A ziemia, przyjąwszy dary, zabierała się odśmiechnąć całą tęczą. Bo już na zagonie i w lesie zaczęły pękać pierwsze pąki kwiatów i kołysały się z wiatrem. Dzwoniły dzwonki leśne, modrzyły się przylaszczki i sasanki, bieliły, jak resztki śniegu pierwiosnki, złociły się jaskry polne i podbiały, a nawet podnosił nieśmiało senną główkę fijołek.

Słońce widziało to wszystko, ale i ono nie ustawało w pracy. Promienie jego, jak czółenka złote, migały we wzorzystych krosnach, tkając i rozszerzając wiotką przędzę na drzewach, ogrzewając ruń delikatną i świeżą i nalewając wonie w rozpękłe kielichy kwiatów.

Nie próżnowały i ptaki.

Skowronek od poranku dzwonił w błękicie, wcześniej niż dzwonek na Zwiastowanie, wcześniej niż Wielkanocne dzwony. Nie darmo powiadają bowiem, że już „św. Agnieszka wypuszcza skowronka z mieszka“. Miałci on już gniazdo w szarej bruździe i dzwonił ziemi do pracy.

Jaskółki wybiegły z pod wody, gdzie przez zimę więziła błękitna fala, i krążyły to nad zwierciadłem rzeczki, to nad strzechą, uganiając się za robaczkami i upatrując miejsca na gniazdo.

Bociany ciągnęły od południa i spadały z radosnym klekotem na strzechy, topole i lipy, witając starą siedzibę.

Nie próżnował i człowiek

Wyszedł z chaty, pojrzał na wczesne już zorze i wydobył srebrzysty lemiesz, aby pomódz ziemi w jej pracy. Pociągnęły też pługi na rolę i krajały czarne lśniące skiby, aż tam het! pod samo niebo.

Tak było do Zwiastowania.

Aż nagle w pierwszy świt, który mdły jeszcze i błękitny przez mgły się przebijał, uderzyły dzwony.

Biegły one zrazu ciche, potem głośniejsze, rozpraszały się po rosie, to znów łączyły w harmonję i spiewały radośnie:

— Ave!.

Był zaś w nich hymn przedziwny, tryumfalny, zwiastowanie cudu i początku życia, a cud ten poprzedził inny, który ma na imię Zmartwychwstanie. I były te promienie alfą, za którą miała przyjść płomienna omega.

Pierwsza usłyszała dzwony ziemia i zasłuchała się w nie, dysząc lekko, jakby w pół śnie w pół upojeniu. Przestała pracować, ale była to tylko chwila skupienia na nową, pełniejszą pracę.

Usłyszał dzwony skowronek i zamilkł zasłuchany w echa.

Usłyszały dzwony kwiaty i przestały dziergać swoją tęczową przędzę.

Usłyszały dzwony ptaki i przestały wić swoje gniazda.

Stacya doświadczalna w Sobieszynie. — Dom, w którym mieszczą się pracownie.

Usłyszał dzwony bór i przestał szumieć oczarowany.

Czas trwał do zmierzchu, kiedy znów przez błękitną głębię popłynęły rozbujane głosy z wieżycy. Biegły i teraz zrazu ciche, potem głośniejsze, rozpraszały się po rosie, to zbiegały w harmonję przedziwną i śpiewały radośnie:

— Ave!..

Był zaś w nich hymn przedziwny, tryumfalny, zwiastowanie cudu i początku życia.

Gleba, bór, kwiaty, ptaki i ludzie odebrali chrzest wiosny, a dzwony Zwiastowania przeżegnały ziemię na cztery strony świata. A choć praca w oczarowaniu i upojeniu ustała na chwilę, był to tylko moment skupienia i modlitwy w zachwycie.

Dlatego to starzy ludzie powiadają, że właściwie Zwiastowanie poczyna wiosnę na świecie. Wtedy zlatują się najgęściej bociany, a kwiaty chrzest odbierają. Wielkie to święto! Nie godzi się weń pracować dłońmi; lecz tylko zachwyconym duchem i bijącem sercem. To też — dodają starzy ludzie — w dzień Zwiastowania nawet najdrobniejsza ptaszyna przestaje wić gniazdko i wsłuchuje się w grające echa. Gdy zaś ziemia i ludzie prześnią słodko chwilę upojenia, wtedy z rannemi świty tem żwawiej zawarczy praca na wielkich krosnach natury.

Nix.

Stacya doświadczalna w Sobieszynie.

Rolnictwo w obecnych stosunkach ekonomicznych wymaga wielu inowacyj ekstensywniejszej uprawy i lepszych nasion Materyalnie stosunki naszych ziemian nie pozwalają im na robienie kosztownych częstokroć prób. Dlatego musi istnieć w społeczeństwie instytucya, mająca na celu próbowanie i doświadczanie rozmaitych wynalazków w dziedzinie rolnictwa. Za granicą w Anglii, Francyi, Niemczech istnieją stacye doświadczalne rolnicze, subwencyonowane przez rząd, których zadaniem jest zapoznawać ogół ziemian z najnowszemi wynalazkami, odmianami roślin, mogącemi przynieść wielki zysk w rolnictwie. U nas do tej pory istnieje jedna taka instytucya w Sobieszynie. Z dziejami tej stacyi doświadczalnej chcemy dziś zapoznać naszych czytelników.

Z zapisu hr. Kickiego Sobieszyn, położony w gubernii siedleckiej, dostał się na własność Tow. osad rolnych. W testamencie jednak znajdował się dopisek, że część tego folwarku ma być zamieniona na stacyę prób melioracyjnych i doświadczeń rolniczych.

W rzeczywistości, w roku 1886 urządzono na 15 hektarach pola taką stacyę. Kierownictwo nad tą instytucyą objął profesor, niezbyt odległego od Sobieszyna instytutu rolniczo-leśnego w Nowej Aleksandryi, Cichocki. Początek stacyi był bardzo skromny. Jedynym budynkiem była stodółka, w której mieścił się śpichlerz. Doświadczenia robiono na 140 parcelach i w ciągu 6 lat wypróbowano 17 gatunków pszenicy ozimej krajowej i zagranicznej, 10 gatunków żyta, 8 gatunków pszenicy jarej, 9 gatunków jęczmienia dwu i cztero rzędowego, 13 gatunków owsa. Próby robione roślinami okopowemi, jak kartofle i buraki, zaczęły się dopiero w roku 1887 i miały na celu wykazanie najlepszej metody sadzenia, wydajności jednostki przestrzeni i wpływu nawożenia.

W roku 1892 następuje zupełna reorganizacya stacyi doświadczalnej, przyczem na pierwszym planie miano ulepszenie metody i techniki dokonywanych prób i doświadczeń w duchu postępu wiedzy rolniczej. Przy sekcyi rolnej Warszawskiego oddziału Tow. Pop. Ros. Handlu i Przemysłu utworzono stałą delegacyę której zadaniem jest kierować stroną naukową prac stacyi sobieszyńskiej i wespół z jej kierownikiem przeprowadzać plan działania,

Oprócz tego, komisya, reorganizująca stacyę, zważywszy, że działki pól próbnych znalazły się przez sześcioletnie użytkowanie w bardzo różnych warunkach, skutkiem różnego nawożenia i różnorodności uprawianych roślin i że z natury swej, pole doświadczalne posiada zbyt wielką rozmaitość gleby, postanowiło przeniesienie pola w inne bardziej odpowiedne miejsce.

Aby odpowiedzieć położonemu przez ogół zaufaniu przyjęto następujące wytyczne punkta dla tej instytucyi.

1) Stacya ma być ogniskiem prób z odmianami roślin, według ścisłych jej wskazówek, przez pojedyńczych rolników w różnych stronach kraju wykonanych. Wyniki tych prac komunikuje się stacyi wraz z przesłaną próbą zebranych zbóż. Porównanie tych wyników i ogłaszanie rezultatów wykonywa zarząd stacyi.

2) W Sobieszynie powstaje stacya oceny nasion.

3) W laboratoryum stacyi mogą być dokonywane rozbiory produktów rolnych, gleb, nawozów sztucznych i t. d. według ogólnie przyjętych metod.

4) Stacya służyć będzie objaśnieniami we wszystkich sprawach wątpliwych i udziela odpowiedzi

Ostatni wybuch Wezuwiusza. — Wnętrze wielkiego krateru w czasie wybuchu.

w kwestyach tyczących się produkcyi roślin, używania nawozów sztucznych, zakładania szkółek, chorób roślinnych, szkodników i t. p.

Stosownie do tego programu od 1892 r. rozwija stacya dobroczynną swą działalność. Założono tam szkółki zbożowe, które wytwarzają coraz więcej czystych odmian najplenniejszych zbóż. W październiku 1892 r. otwarto stacyę oceny nasion, gdzie rolnicy mogą dowiadywać się o dobroci i sile kiełkowania ziarna. W r. 1898, zaprowadzono na stacyi na wzór niektórych instytucyj badania nad produkcyą roślinną w specyalnych naczyniach systemu Wagnera z Darmstadtu.

Naczyń tych sprowadzono 53 i stacya prowadzi w nich nader ścisłe badania wpływów poszczególnych nawozów na rośliny uprawne. Stacya Sobieszyńska posiada obecnie następujące urządzenia i środki.

1) Składające się z kilku oddziałów, pole doświadczalne całe drenowane i otoczone parkanem.

a) Szkółki zbożowe, gdzie hodują się najlepsze odmiany zbóż, b) pólka dla różnych odmian próbowanych zbóż i roślin okopowych, c) pólka dla doświadczeń nawozowych, d) pólka dla demonstracyi wszelkich gatunków roślin pastewnych.

2) Pracownię chemiczną zaopatrzoną w odczynniki i przyrządy konieczne do wykonania wszelkich rozbiorów pasz, nawozów, produktów rolnych.

3) Pracownię botaniczną.

4) Oddział kultur nawozowych.

5) Bibliotekę i zbiory przyrodnicze.

6) Stacyę meteorologiczną.

Przy takich środkach pomocniczych działanie stacyi z roku na rok się zwiększa jak pokazuje ostatnie sprawozdanie w ubiegłym roku. Włościanie z gubernii siedleckiej, lubelskiej i radomskiej zaczęli korzystać z jej prac. Jest to objaw bardzo pouczający, dowodzący jak wielkie znaczenie ma taka instytucya w rolnictwie. *S. D.*

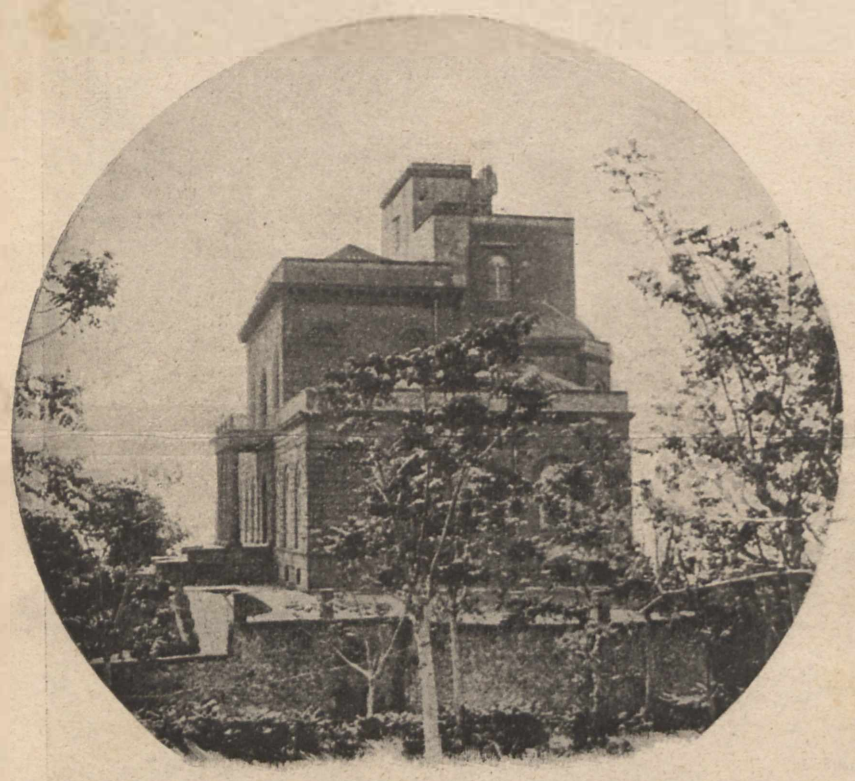

Gmach obserwatoryum prof. Palmieri'ego na Wezuwiuszu.

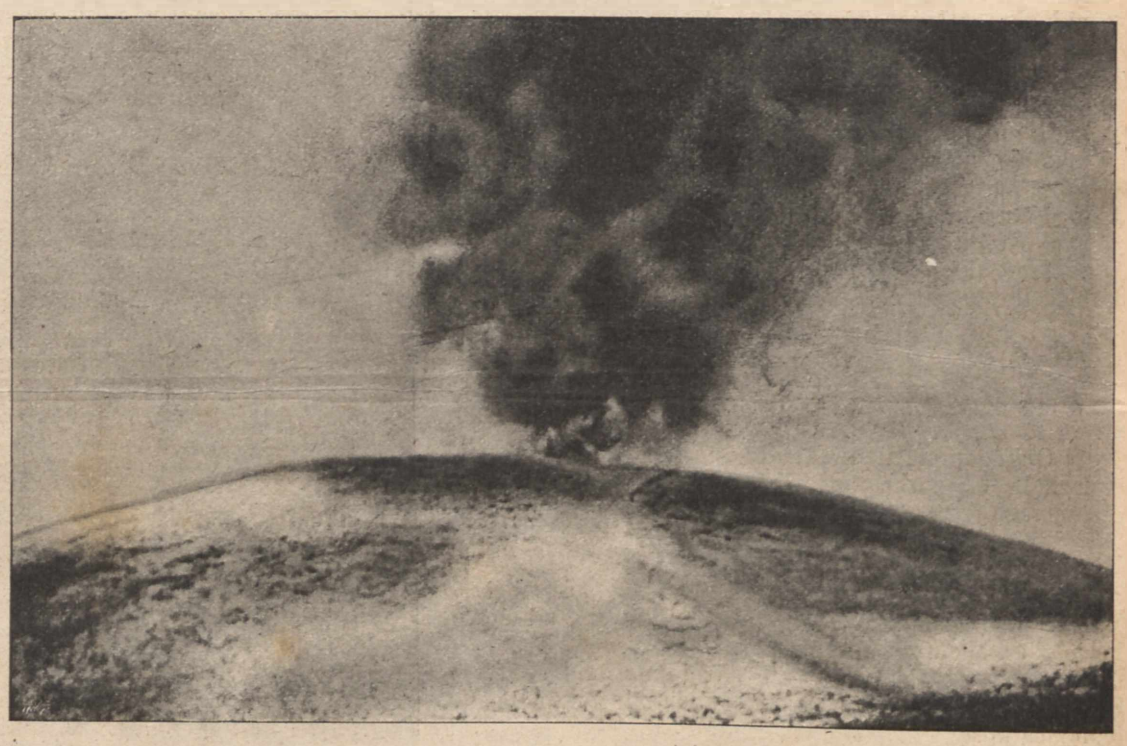

Najnowszy wybuch Wezuwiusza. — 0 sto metrów od krateru.

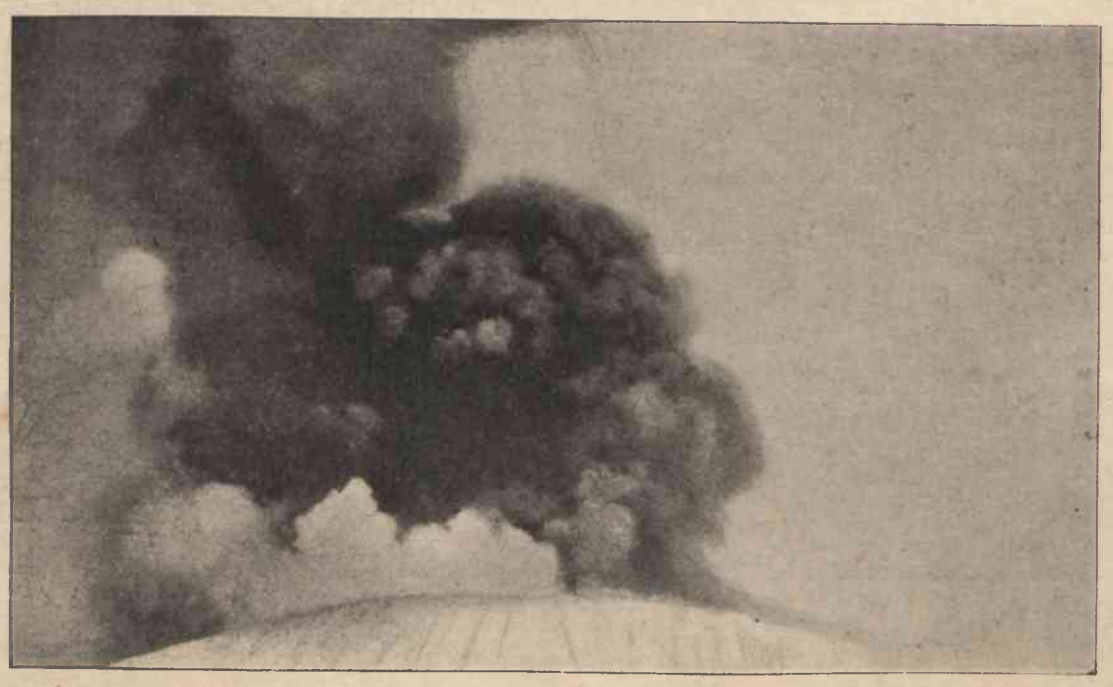

Ostatni wybuch Wezuwiusza. Wielki krater.

Tajemnica długiego życia.

Lekarz drezdeński, dr Meinert, podjął się ciekawej wielce pracy naukowej, ułożywszy statystykę najstarszych wiekiem saksończyków. Szczególnie trudnem zadaniem okazało się zdobycie adresów osób, liczących lat dziewięćdziesiąt, lecz rząd przyszedł uczonemu z pomocą i w ministeryum saksońskiem było zajętych szesnastu specyalnych urzędników którym, na mocy dowodów, pozostałych po ostatnim spisie ludności, udało się sprawdzić tożsamość 73 osób, które przeżyły lat dziewięćdziesiąt.

W liczbie tej znajduje się 23 ch mężczyzn — wszyscy żonaci; wzgląd, wedle orzeczenia d-ra Meinerta, bardzo ważny, — oraz 50 kobiet, z których zaledwie kilka pozostało w stanie bezżennym.

Na 36 zapytań, podanych przez dr. Meinerta w odnośnych kwestyonaryuszach i rozesłanych staruszkom, zostały udzielone odpowiedzi w większości wypadków przez domowych lekarzy sędziwych osobników. Troje staruszków zupełnie odmówiło udzielenia jakichkolwiekbądź danych o sobie.

Z liczby pozostałych 70-ciu, naliczono tylko 14-tu, urodzonych w Dreznie. Wedle wyznań, jest siedmiu katolików, dwóch żydów, a reszta wyznaje religię luterańską..

Większość z nich ujrzała światło dzienne w drugiej połowie roku. Pochodzenie okazuje się czynnikiem niezmiernie ważnym w dziedzinie wielolecia— rodzice bowiem wszystkich tych starców dożyli bardzo późnego wieku.

Z szeregu zanotowanych przy tej sposobności faktów charakterystycznych, zasługuje na uwagę następujący: Jeden z dziewięćdziesięcioletnich staruszków był wedle starszeństwa, dziewiątym synem swoich rodziców. W chwili, gdy przyszedł na świat, ojciec jego, który doczekał się 100 lat życia, miał lat 80. Matka karmiła go przez długie lata. Starzec

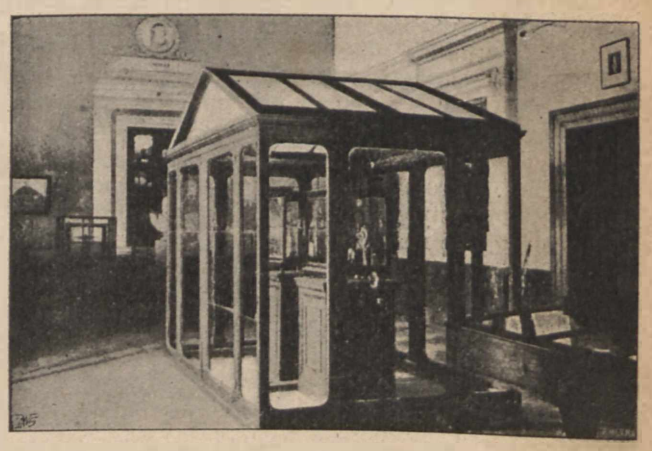

Wnętrze obserwatoryum prof. Palmieri'ego, na Wezuwiuszu.

ten ożenił się dopiero w 61 roku życia i pojął za małżonkę dwudziestoletnią pannę. Z małżeństwa tego przyszło na świat troje dzieci, z których pierwsze przy urodzeniu ważyło 12, drugie 8 a trzecie — 7 funtów. Dwaj jego synowie są obecnie profesorami uniwersytetu.

Większość staruszków jest średniego wzrostu, a wysokiego między nimi niema prawie ani jednego. Wedle koloru włosów — są to przeważnie blondyni i wszyscy odznaczają się gęstością zarostu. Większość z nich nie posiada zębów, ale mają na tyle wzmocnione podniebienie, że mogą doskonale przeżuwać wszelki pokarm, wbrew starej teoryi Huflanda, iż zanik zębów powoduje trudność trawienia i sprowadza śmierć przedwczesną. Niektórzy z liczby zbadanych starców czytają jeszcze dzienniki bez pomocy szkieł i cieszą się zupełnie normalnym słuchem; większość jednak cierpi na przytępienie organu słuchowego.

Czwarta część z nich zachowała najzupełniej zdolność przenoszenia się z miejsca na miejsce i robi częste spacery, niektórzy jednak mogą się przechadzać zaledwie po pokoju. Większość zdolna jest nadto pracować jeszcze i prowadzi swoje zajęcia z widocznym wysiłkiem. Jeden z tych dziewięćdziesięcioletnich starców sam obcina kupony od swoich papierów wartościowych i pod żadnym pozorem nie dopuszcza do walorów swoich dzieci, motywując ten zakaz tak: „Jeżeli ja wypuszczę zarząd majątku z rąk moich, a dzieci moje nagle powymierają, to mógłbym mieć potem okropny kłopot, którego wolę w ten sposób uniknąć!“ O własnej śmierci, mogącej uprzedzić zgon jego dzieci — ani mu przeszło przez głowę.

Wszyscy bez wyjątku staruszkowie sypiają po 8—9 i więcej godzin na dobę.

Bardzo wielkie znaczenie dla długowieczności posiada temperament. Z ogólnej liczby 70 starców, zaledwie pięciu było poważnego usposobienia; wszyscy pozostali zawsze odznaczali się wesołością charakteru. Wielu z nich w czasach młodości słynęło z niepohamowanej swywoli i urwisostwa.

Biednych ludzi wśród tych 70-ciu starców prawie niema, a za wyjątkiem sześciu, wszyscy posiadają dobrobyt, wielu z nich odznacza się zamożnością, a niektórzy są nawet bogaci. Wszyscy prawie w ciągu całego życia cieszyli się wszelkiemi doczesnemi wygodami, co jest pierwszorzędnym warunkiem długiego życia.

Pragnąc naszkicować sferę miłości i pieczołowitości, jaką, na podobieństwo roślin cieplarnianych otoczeni są z największą troskliwością staruszkowie, dr. Meinert przytacza kilka wzruszających epizodów, spostrzeżonych przezeń przy zbieraniu danych statystycznych.

Do pewnej np. wdowy po pastorze, bojaźliwi jej opiekunowie, opiekujący się staruszką z niesłychaną troskliwością, nie chcieli zgoła dr. Meinerta dopuścić. Mieszkańcy tego domu zapewniają wszystkich, iż starowinka jest tak dobrą, iż umrzeć wcale nie może. Gdy uczony lekarz odchodził, to kobiety, opiekujące się staruszką, stosownie do wświęconego przez nią obyczaju, napchały mu pełne kieszenie jabłek.

— W podobnie moralnej atmosferze, gdzie ludzie żyją długo — opowiadał dr. Meinert — w podobnie rodzinnej atmosferze człowiek czuje się stokroć lepiej, niż w najlepszym klimatycznym kurorcie!

Wedle teoryi Huflanda, jedynacy nie mogą spodziewać się długiego życia. Niema jednakże reguły bez wyjątków. Wśród owych 70-ciu starców, troje było jedynakami. Jeden z nich z niezachwianym uporem odmówił udzielenia jakichkolwiekbądź o sobie danych. Druga osoba (z liczby jedynaków), umieszczona w domu klasztornym, słynie z niezwykłej surowości życia i oziębłości usposobienia. Trzecia — ex-tancerka, stała się głośną dzięki niepospolitej swarliwości. Okazuje się ztąd, że jedynactwo nie stanowi wielkiego szczęścia, wpływa bowiem dość ujemnie na charakter człowieka i czyni zeń jednostkę nietowarzyską i niesympatyczną.

Niektórzy z 70 starców chętnie pluskają się w zimnej kąpieli, większość jednakże boi się wody jak ognia i zadawala się tylko myciem twarzy i rąk, zrzadka godząc się na wannę.

Nie podobna także utrzymywać, aby sędziwi ci obywatele byli szczególnymi zwolennikami świeżego powietrza. W pokojach ich nierzadko dawały się uczuć wstrętne po prostu zapachy. Wszyscy odznaczają się „wilczym“ apetytem i doskonałem trawieniem. Widocznem jest też, że ten dobry apetyt idzie im na zdrowie. Wszyscy przepadają za pokarmem roślinnym i chętnie zjadają cukier.

Doktor Meinert usilnie propaguje wstrzemięźliwość od alkoholu, tu jednak, między owymi starcami nie napotkał tej wstrzemięźliwości, jaką spodziewał się znaleźć. Jeden ze staruszków, ongi stróż, wychyla po litrze wódki miesięcznie, rozdzielając tę ilość na równych 30 porcyj. Kobieta znowu pewna, pojona w niemowlęctwie, zamiast pokarmem matczynym, parzonem mlekiem krowiem, trzykrotnie w tygodniu musi mieć swoją porcyę wódki. Nie bacząc na swoje dystyngowane pochodzenie, ku najwyższej rozpaczy rodziny, sędziwa ta dama wstępuje do podrzędnych knajpek i szynkowni. Ale nie uważając na to, i zięć i córka jej otaczają staruszkę największą troskliwością, nie czynią jej nigdy żadnych wymówek i kładą tę skłonność do alkoholu na rachunek choroby. Z dziewięciorga dzieci tej niewiasty, ośmioro okazało się zdolnych do dłuższego życia.

Jeden z 70-ciu staruszków, lekarz z powołania, postanawia przestać pić piwo, wskutek objawow podagrycznych, uczuwanych po każdej pochłoniętej szklance. Drezdeńczyk pewien, kapitalista, który w marcu obchodzić ma setną rocznicę urodzin, prowadzi żywot trzeźwy zupełnie, pozwalając sobie na „używanie“ jedynie raz w roku, w dniu swoich urodzin właśnie. Początkowo był on pastuchem, potem robotnikiem, następnie tkaczem a wreszcie został posiadaczem fabryki wyrobów sukiennych. W ciągu ostatnich lat sześćdziesięciu przestał używać tytoniu. Był on osobiście u doktora Meinerta i udzielał odpowiedzi na niektóre pytania, stawiane mu przez interlokutora.

W zakończeniu swojej publicznej pogadanki na temat długowieczności *ex re* rzeczonego kwestyonaryusza, dr. Meinert ostrzega przeciwko używaniu tytoniu, niekorzystnie oddziaływającego na organizm.

Przedewszystkiem zaś należy zachować zdrowe serce.

Chrystus uspakajający burzę. — Obraz G. Girardota.

Jan Reibrach.

Po rozwodzie.

Przekład z francuzkiego.

— Muszę wyznać panu — oświadczyła pan Dorchal — iż młoda wdowa, o której panu mowiłam, jest matką małej córeczki.

— Nic to nie szkodzi, — odparł Rerel, — wszak ja mam dwoje dzieci.

W półcieniu salonu uśmiech rozjaśnił ładną, w aureoli jasnych włosów, twarz pani Dorchal.

— A więc — rzekła, — załatwiliśmy się już z

przeszkodą. Pozostaje jeszcze do wyświetlenia jeden punkt, odnośny do pana. Prosiłam właśnie pana o przyjście dziś, chcąc o tem pomówić

Rerel skłonił głową na znak gotowości.

— Chodzi mianowicie, — ciągnęła dalej pani Dorchal, — o pański rozwód. Wyrok sądu zapadł na korzyść pana, przyznając mu opiekę nad dziećmi. Ale... chcianoby wiedzieć, w jakich warunkach rzecz zaszła... Rozumie się, rozeszliście się państwo o coś poważnego?

— Tak, zapewne, lecz może nie w sensie, w jakim to pani rozumie. Zresztą cała ta historya da się streścić w dwóch słowach: Moja żona kochała innego. Wyznała mi to szczerze, prosząc o wrócenie jej swobody. Zgodziłem się na jej żądanie.

— I to wszystko, — spytała ze zdumieniem pani Dorchal. Nie kochałeś jej pan.

Rys. oryg. T. Jaroszyńskiego.

— Owszem, — odparł Rerel. — Lecz cóż mogłem począć, gdy nie powstrzymała jej nawet myśl o dzieciach? Uciekłaby, lub zdradzałaby mnie. Doprowadziłoby nas to do smutnych ostateczności. Lepiej, iż rzeczy tak się ułożyły. Za punkt do rozwodu posłużyła jej odmowa powrócenia pod dach rodzinny. Jest to powód wystarczający.

— I cóż dalej? — spytała pani Dorchal.

— Dalej? Nie widziałem jej już więcej. Wiem, że wyszła za ukochanego mężczyznę.

W głosie Rerela zadźwięczał mimowolny smutek.

— Przepraszam pana; rozjątrzam bolące rany. Ale pokazałeś pan w tej okoliczności prawdziwą mądrość życiową.

Rerel skłonił głowę. Pani Dorchal dodała wesoło:

— Nic więcej nie sprzeciwia się spełnieniu mego projektu. Mówiłam panu przed chwilą o dziewczynce, — dorzuciła nagle. — Nie mogę jeszcze zapoznać pana z matką, ale pokażę panu dziecko, które przyszło dziś do mnie ze swą nauczycielką. Przekona się pan, jakie to czarujące stworzonko.

Rerel zgodził się milcząco. Był zamyślony; wywołane przed chwilą wspomnienia odżyły boleśnie w jego duszy. Straszny był ten cios, który spadł nań po trzech latach złudnego szczęścia! Wyrzekł się bohatersko swych praw wobec miłości żony dla innego. I przypomniał sobie krzyżową drogę rozwodu, daremne próby zapomnienia jej w objęciach innych kobiet. Teraz jeszcze, decydując się zawrzeć w czterdziestym roku życia ponowne związki, pragnął nietyle stworzyć sobie nowe życie, ile zapomnieć o tej,która po 6 ciu latach rozłąki,żyła zawsze w jego pamięci. Ach, jego Marta! Gdzie się też teraz obraca? Kocha i jest kochaną! Ma dzieci, które pocieszają ją po rozstaniu z dwojgiem pierwszych. A jednak! Kto może przewidzieć losy życia? Może i ją spotkały zawody?

Z zadumy obudziło go wejście dziewczynki; już uśmiechał się do niej, gdy nagle zadrżał na całem ciele. Za dzieckiem dojrzał postać wprowadzającej ją nauczycielki: wiotką figurę, poważną twarz o spuszczonych powiekach.

Drzwi zamknęły się. Rerel stał nieruchomy i blady.

— Co się panu stało? — wykrzyknęła pani Dorchal.

— Przepraszam panią, wyjąkał z wysiłkiem, lecz ta osoba, którą...

— Nauczycielka? Pani Marta? — rzekła pani Dorchal; — ta osoba więc..

— Marta! — powtórzył Rerel.

Na twarzy pani Dorchal odbiło się wzruszenie.

— Byłażby to „ona"? — spytała żywo.

— Tak, to moja żona.

— Wyjdź na chwilę dziecinko! — rozkazała pani Dorchal. — Przywołam cię zaraz.

Nastała chwila milczenia. Rerel szukał machinalnie jakiegoś oparcia.

— Ona, ona! Na tem skończyła!

I zaniepokojony nagle, dodał:

— Pani musi wiedzieć cośkolwiek o niej... proszę panią...

— Nie wiem nic zupełnie, lecz dowiem się, jeśli pan tego pragnie...

Zamyśliła się głęboko i utkwiła w jego twarzy wzrok badawczy.

— Pan kocha ją zawsze?

Reral rozłożył bezsilnie ręce.

— Proszę panią spytać jej,wybadać ją...

— Idę już, — odrzekła ze szczególnym uśmiechem, — powiem jej, że chce pan z nią pomówić.

Rerel cofnął się ku framudze okiennej wgłąb salonu. Patrzył nieruchomo we drzwi i starał się stłumić bicie serca. Czy Marta zechce przyjść? I co mu powie?

Upłynęło kilka minut. Drzwi otworzyły się. Serce zamarło Rerelowi w piersiach, zadrgały mu nerwowo powieki. Salon wydał mu się rozległy jak pustynia. Marta stała u progu ze spuszczonemi oczyma, z twarzą bladą od cierpień i zamgloną smutkiem. Rerel przestał szukać ceremonialnych słów przywitania i wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem:

— Ty, ty! jesteś nauczycielką!

Młoda kobieta opuściła głowę na piersi i ukryła twarz w dłonie; widział tylko jej delikatne palce i kasztanowate włosy, na które światło kładło złote błyski. Przez chwilę milczeli oboje. Cała przeszłość wezbrała mężczyźnie mętną falą do serca. Postąpił kilka kroków naprzód i spytał z głębokiem drżeniem w głosie:

— Więc nie znalazłaś szczęścia?

Głuche łkanie było mu całą odpowiedzią.

Rerel zbliżył się jeszcze i zatrzymał w środku salonu.

— Cóż stało się z marzeniem, któremu poświęciłaś wszystko?

Marta potrząsnęła rozpacznie głową.

— Ach! — westchnęła głucho, — jesteś pomszczony!

— Nigdy nie pragnąłem zemsty, — odparł Rerel ze smutkiem. — Przeciwnie, miałem nadzieję, że uzyskasz szczęście, którego ja dać ci nie umiałem.

— Nie wierzyłam już w możność szczęścia, opuszczając ciebie — przerwała Marta.— Zostawiłam za sobą zbyt wiele smutku.

Płakała. Rerela zdjęła litość. Życie dało mu zadośćuczynienie: oto, po przebytej drodze był silnym i zwycięzkim wobec niej, słabej i zwyciężonej. Czuł w sobie potrzebę dobroci, przebaczenia, pociechy. Widział, że Marta pokutowała ciężko. Utrata złudzeń, tęsknota za utraconemi dziećmi, może nawet wyrzuty, które czyniła sobie za zburzenie jego szczęścia — wszystko napawało ją bólem. Lecz on również cierpiał strasznie. Patrząc na nią, myślał o dzieciach, których matka wpa[illegible] w taką nędzę; jednocześnie szarpały mu dusz[illegible] skrupuły i wątpliwości. A może to on był winien nieszczęściu? Powinien był bronić jej przeciw niej samej, starać się zachować ją i powstrzymać od ostatecznego kroku? Kto wie, czy nie dziecinna naiwność popchnęła ją głównie do obłąkanego czynu? Kto wie, czy stoicka odwaga, z jaką on zgodził się na rozerwanie ich małżeństwa, nie była wyrazem fałszywej pychy?

Lecz nagle zdjęła go gorycz na myśl o tamtym drugim, który mu ją zabrał, omamiwszy zwodnemi obietnicami, o tamtym, przez którego cierpiała Marta, dla której on snuł był cudne marzenia.

— Więc twój mąż zrujnował cię? — zapytał.

Skinęła potakująco głową.

— Opuścił cię również, może?

— Nie... umarł, — odrzekła Marta.

Opuściła bezwładnie ręce. Nie płakała już; nieruchoma i tragiczna, wyglądała, jak uosobienie boleści. Rerel milczał, poruszony do głębi. Słowa Marty rzuciły na zmarłego jakby zasłonę zapomnienia i przebaczenia. Na widok jej smutnej twarzy i jej rysów niezapomnianych, wróciły mu na myśl dawno przeżyte chwile. Przypomniał sobie minione lata, miesiące poślubne. Serce wezbrało mu dawną dla niej miłością.

Zbliżył się o krok jeszcze; stał tuż przy niej.

— Marto! — rzekł, — czy pozwolisz mi opowiedzieć ci teraz coś o sobie, zrobić ci pewne wyznanie Przyszedłem tu w zamiarze omówienia nowego małżeństwa. Pani Dorchal ..

— Pragnę najgoręcej twego szczęścia, — rzekła Marta

— Szczęście, — westchnął Rerel.—Czyż mógłbym zaznać go, widząc cię w takiej trosce.

— Ah! dla czego przemawiasz do mnie w taki sposób! — wyszeptała Marta, głosem rozpacznym.— Stokroć wolałabym byś mnie przeklinał. Zmniejszyłoby to gorycz wyrzutów, które sobie czynię.

— Wyrzutów Marto? A gdybyś mogła zatrzeć je i zło naprawić?

— W jaki sposób? Powiedz mi, a uczynię wszystko, co każesz. W jaki sposób?

Podniosła nań oczy, w których po przez smutek przebijała stanowczość, serce zakołatało mu gwałtownie w piersi, zapanował jednak nad sobą i odparł ze słodyczą:

— Wracając do tych, których opuściłaś.

Marta, nie śmiąc wprost zrozumieć, patrzyła nań zmięszana i wzruszona.

— Przeszłość minęła, — dodał Rerel. — Jesteśmy oboje wolni. Nie rozwód, a śmierć rozerwała twój drugi związek; prawo pozwala nam więc połączyć się ponownie, jeśli ty się na to zgodzisz.

— Ach, Piotrze, Piotrze! — wykrzyknęła Marta, tuląc się z gorącem lkaniem do jego ramienia. On pochylił się ku niej; uśmiech rozjaśnił mu oblicze. Poczuł w tej chwili całą jej kobiecą słabość, zrozumiał, iż oboje zbłądzili byli w przeszłości. Ona uległa złudnym mirażom i, jak motyl do światła, poszła tam, gdzie zdawała się ją wzywać miłość. Ach! dla czego nie powstrzymał jej wtedy! Lecz teraz przeniknęła go wielka błogość, dobre godziny przeszłości stanęły mu przed oczyma. I wyszeptał głosem cichym, jak westchnienie:

— Marto, kocham cię zawsze.

— Ach, a ja, — wykrzyknęła Marta, — ciebie tylko zawsze kochałam!

I przytuliwszy znów głowę do jego piersi, siedziała nieruchoma, z twarzą promieniejącą, z wzrokiem rozmarzonym.

Nagły szmer obudził ich z zadumy.

— Ach, przepraszam! — rzekła pani Dorchal, uchylając drzwi od salonu. — Nie słyszałam rozmowy i sądziłam...

Cofała się w tył, lecz wstrzymał ją Rerel:

— Ależ proszę panią, niech pani wejdzie i zechce mi wybaczyć, iż pokrzyżowałem nasze plany. Mam zaszczyt przedstawić pani mą narzeczoną.

— Pańską żonę, — poprawiła pani Dorchal z serdecznym uśmiechem, wyciągając obie ręce do Marty. — Chciałam uszczęśliwić dwie istoty; widzę, iż udało mi się to nad moje spodziewanie.

— Rzeczywiście! — zgodził się Rerel, — gdyż szczęście zejdzie jeszcze na...

— Na nasze dzieci! — zawołała Marta.

— Są przy mnie, w domu, — rzekł Rerel z uśmiechem. — Idźmy do nich!

Z Paryża.

Zbliża się we Francyi smutna era dla rzezimieszków wszelkich kategoryj, szczególniej zaś dla recydywistów. Wiadomem jest ogólnie, iż ujęci przez policyę rycerze wytrycha i noża, fałszerze, włóczęgi, awanturnicy o przeszłości, kryjącej się przed światłem dziennem, poruczani zostają przedewszystkiem badaniom p. Bertillon, wynalazcy systematu i szefa wdyziału antropometrycznego przy prefekturze paryzkiej. P. Bertillon fotografuje swych chwilowych klientów w paru pozach, a następnie mierzy ich w specyalny sposób, notując długość niektórych linij, nie zmieniających się z biegiem lat, po przejściu pewnego określonego wieku. Z liczb, otrzymanych w taki sposób, uczony ten ustanawia, że tak powiemy „wymiarowy“ portret indywidum, zwany technicznie „fiche antropométrique“, nieocenionej będący wagi dla policyi. Przypuśćmy bowiem, że odsiedziawszy swą karę, przestępca wypuszczczony zostaje na wolność i uwięziony po jakimś czasie ponownie za nowe wykroczenie. Prowadzą go znowuż do biura antropometrycznego. Złoczyńca nie chce wyjawić nazwiska, a zmienił całkowicie fizyognomię, co nie jest trudnem. Zapomniał jednak, że nie zmieniła się przytem długość jego palców, szerokość jego czoła i inne szczegóły, które nie mogą być zupełnie jednakowe u dwóch odmiennych osobników. Po uczynieniu powtórnych pomiarów i porównaniu odpowiednich cyfr, wydział antropometryczny stwierdza jego identyczność z niesłychaną łatwością i upraszcza znakomicie zadanie policyi.

Lecz zdarzają się też inne wypadki. Policya wie, naprzykład, kto popełnił dany występek, lecz nie może wpaść na ślady kryjącego się zręcznie złoczyńcy. Za całą wskazówkę do poszukiwań, posiada dawne jego fotografie, zrobione przed laty kilkunastu, a choćby kilku tylko. Przez lat kilka fizyognomia zmienia się bardzo: zarost znika, lub bujnie twarz zarasta, przychodzi łysina, siwe włosy, otyłość lub wychudzenie nadmierne; zbrodniarz mógł zresztą ufarbować włosy, okaleczyć rozmyślnie twarz. Jak go znaleźć, jak go poznać w obojętnym tłumie. P. Bertillon pracował nad tą kwestyą długo i wytrwale i twierdzi, iż ją rozwiązał. Systemat jego opiera się na zasadzie, iż pewne rysy i cechy twarzy nie zmieniają się już po 20 tym roku życia. Kolor oczu, widzianych w pełnem świetle dziennem, linia nosa i czoła (ligne fronto-nasale) szczególnie zaś uszy nie mogą się zmodyfikować z biegiem lat i czasu. Z drugiej strony nie ma dwóch par uszu bezwzględnie podobnych. P. Bertillon popiera swe wywody setkami i tysiącami przykładów i oświadcza, iż znając, choćby z najdawniejszej fotografii charakterystyczne cechy fizyonomii danego złoczyńcy, można go poznać na ulicy, w teatrze, na kolei, wszędzie, gdziekolwiek się go spotka i pomimo wszelkich przedsięwziętych przezeń ostrożności. P. Bertillon urządza w wydziale antropometrycznym wykłady tak zwanych „portraits parlés“, na których wtajemnicza właśnie w arkana wiedzy poznawania i stwierdzania identyczności ludzi, na zasadzie kilku rysów ich twarzy, wszystkich sekretarzy komisaryatów policyi paryzkiej. Przesuwa im przed oczyma setki i tysiące nosów i uszu, oczów i doprowadza podobno do doskonałego wyćwiczenia w wykładanym przedmiocie. Tem lepiej dla spokoju ulic i mieszkań Francyi i Paryża Tem lepiej dla samotnych staruszek, duszonych i mordowanych, których tragiczny koniec nie wzrusza już publiczności, przyzwyczajonej do ciągłych na nie zamachów. Zbrodniarze-recydywiści powstrzymają się może w zapałach krwiożerczych. wiedząc, iż nic ich nie uchroni na przyszłość przed sokolim wzrokiem p. Bertillon i jego uczni.

***

Wraz z rozpoczęciem postu, gorączka przyjęć i zebrań światowych wzmogła się gwałtownie. Szereg koncertów, przedstawień i konferencyj salonowych gromadzi co wieczór wykwintne towarzystwo; niezliczona ilość wystaw artystycznych dostarcza mu rozrywki we dnie. Rozmaitość tych wystaw i ich liczba jest zadziwiająca i zatrważająca. Obecnie posiadamy ich ze 30; jako ciekawość zaznaczymy wystawę artystyczną urzędników poczt i telefonów i wystawę artystyczno-literacką urzędników kolejowych! Jako „ultra select“ wymienić należy wystawę Automobile-Club'u, na której znajdujemy ograniczoną liczbę dobrze dobranych płócien, poświęconych scenom z życia sportowego; następnie bardzo udaną wystawę akwarelistów, wreszcie wystawę Towarzystwa artystycznego amatorów, utworzoną w celu popierania instytucyj dobroczynnych, a na którą nadesłały swe prace najgłośniejsze nazwiska almanachu gotajskiego i heroldyi. Pełno królewskich i cesarskich wysokości: księżna Matylda, księżna de Chartres, księżna Vendôme, księżna Waldemarowa Duńska, hrabina de Flandre. Mężczyźni „urodzeni“ wystąpili mniej tłumnie. Główną zaletą tej wystawy jest ugrupowanie pięknie brzmiących imion i tytułów.

***

Coraz nowe towarzystwa ubezpieczeń od wypadków, śmierci, choroby i t d. wyrastają z dniem każdym z bruku wielkich stolic. Naturalne pragnienie samoochrony, nie obce dziś ludziom najmniej przezornym, zapewnia tym towarzystwom olbrzymie powodzenie. Niestety, w swym zapale spekulacyjnym, zarzucają one wędkę na najgorsze instynkta naszej natury.

Ostatnio np. poczęto asekurować w Londynie na sumę 5000 fr. ludzi, dotkniętych przez modną od lat kilkunastu chorobę „appendicite“. Jeśli asekurowani przetrwają niezbędną w tej dolegliwości operacyę, otrzymują 5000 fr.; jeśli zaś po niej umierają, suma ta dostaje się spadkobiercom

Nie potrzebujemy nawet nastawać na niemoralność samej zasady takiego ubezpieczenia Lecz gorsza jeszcze stokroć rzecz dzieje się obecnie w tym kierunku na północy Francyi, szczególnie w departamencie Nord. Grasują tam obficie belgijskie Towarzystwa ubezpieczeń, które asekurują od śmierci dzieci, począwszy od pierwszych dni niemowlęctwa. Za minimalną opłatą jednego sousa tygodniowo, towarzystwa te zapewniają rodzicom 20 fr. premium po śmierci dzieci jednorocznych, 25 fr. w razie śmierci dwurocznych, 60 fr. — pięciorocznych, 80 fr. — sześciorocznych, 100 fr.— siedmiorocznych i t. d. Wolno przytem asekurować jednocześnie dziecko w kilku towarzystwach; wolno też czynić tę pieniężną operacyą mamkom, bez uprzedniego zawiadomienia rodziców. Wreszcie gdy rodzice ubezpieczeni są w jakiejś kompanii, ta wypłaca im pewną sumę po śmierci dzieci, nawet jeśli te ostatnie nie miały specyalnej asekuracyi.

Można sobie wyobrazić, jakie zatrute ziarno rzuca ta zachęta do śmierci w mózgi rodziców i wychowawców z ludu, ciemnych i nie znających zbytnich skrupułów sumienia. O pieniądz trudno często po wsiach i w rodzinach robotniczych a tak łatwo otrzymać niezłą kwotę, zaniedbując wprost tylko niemowlę, które najmniejsze przeziębienie zaprowadzić może do grobu.

Jeśli dziecko było ubezpieczone w 3-ch lub 4-ch stowarzyszeniach, wpływa do kieszeni rodziców 60 — 100 fr., podczas gdy skromny pogrzeb nie będzie nawet kosztował 10 fr.

Pewna mamka ubiezpieczyła w krótkim przeciągu czasu 7-iu swych małych wychowanków: wszyscy przenieśli się do grobu.

Pewien doktór departamentu północy opowiada, iż ojciec 5 letniej dzieciny, przejechanej tak szczęśliwie przez samochód, iż uszła z życiem i zdrowiem, biadał nad tem publicznie. „Nie dostanę więc mych 70 fr. asekuracyi“, wzdychał ten wzorowy rodziciel.

Przykładów podobnych można cytować setki; jasne jest, iż na pierwotny umysł i pierwotną moralność ludu taka eksploatacya śmierci działać musi w straszliwie zgubny sposób. Opinia publiczna we Francyi zaniepokoiła sią tą sytuacyą tem poważniej, iż nad krajem zawisła oddawna groźba przyszłego wyludnienia Deputowani Bonneray i Thiérry podali w tej kwestyi do Izby projekt prawa, żądającego zabronienia ubezpieczeń od śmierci dzieci przed 7-ym rokiem życia. Nie ulega wątpliwości, że projekt przejdzie, wobec wzburzenia oświeconego ogółu i energicznych deklaracyj Akademii medycznej, która prowadzi gorącą kampanię przeciw zbrodniczym asekuracyom

Nie wszystkich zajmują te poważne kwestye, przejmujące mimowolną melancholią. Gdy jedni badają zło społeczne, inni skarżą się na zanik przysłowiowej wesołości francuzkiej i postanawiają wskrzesić ją w całym dawnym blasku. Ci zwolennicy śmiechu i wesela, uważają, iż wszelkie zabawy stają się we Francyi coraz więcej monotonne, bezbarwne, pozbawione właściwego charakteru, a więc i nudne, W tradycyonalnych kalwakadach karnawałowych i śródpostnych, ciągnących przez bulwary w obłoku duszącego kurzu, wzbijającego się w powietrze z zabójczych „confetti“, wehikułów mikrobów — zawsze widzimy też same banalne dekoracye, też nędzne kostyumy, wyzłocone i wysrebrzone wytartym szychem. Pewna grupa literatów i artystów, i nie najpośledniejszych, połączyła się więc w kółok pod nazwą „Paris Fêtes-Club“, które postawiło sobie za zadanie urządzanie całego szeregu orszaków, kalwakad, uroczystości, oryginalncyh i estetycznych, budzących w tłumie poczucie piękna. Przyrzekają nam święto wiosny, święto pór roku i t. d.; nazwy to zachęcające i poetyczne, byle tylko dorównało im wykonanie programu przez adeptów piękna.

M. M.

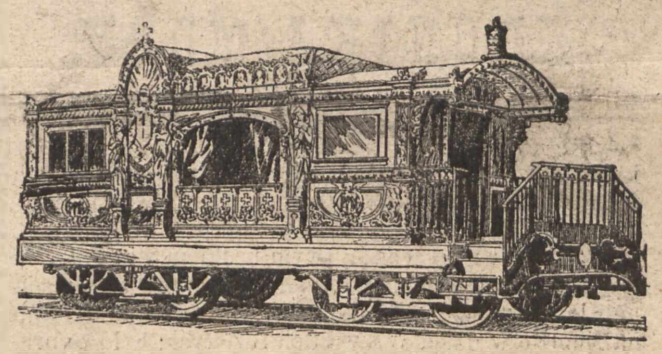

Wagon sypialny Ojca Świętego.

Jak każdy z panujących, tak i Ojciec św. posiada wagon własny dla odbywania podróży koleją żelazną. Wagon ten, którego wizerunek podajemy, kazał zbudować swego czasu Pius IX w Paryżu, a zapłacił za niego przeszło 100 tysięcy franków. Od 32 lat wagon papiezki stoi bez użytku od czasu bowiem aneksyi państwa kościelnego przez Włochy, Ojciec św., jak wiadomo, poza mury Watykanu nie wychodzi.

Wagon sam jest wspaniały i czyni zaszczyt smakowi francuzkiemu. W wagonie znajduje się kilka przedziałów, przeznaczonych na kapliczkę, salon, jadalnię i sypialnię. Liczne rzeźby zdobią apartamenta podróżne, jak figury wszystkich Apostołów, Panny Maryi i świętych Pańskich. W kapliczce znajduje się cenny obraz Niepokalanego Poczęcia N. M. P. Ponad wejściem do wagonu znajduje się herb papiezki, a powyżej widzimy papiezką tyarę. Sala wybita jest białym materyałem w złote i liła pasy.

Cenny ten pod każdym względem wagon znajduje się w bogatych składach Watykanu, oczekując na chwilę, tak ważną dla całego Kościoła, w której Ojciec św., przestawszy być więźniem u samego siebie, opuści po tylu latach niewoli mury Watykanu.

Z piśmiennictwa.

☐ W wydawnictwie M Arcta **Książki dla wszystkich** wyszło dziełko *Waleryi Marrene-Morzkowskiej*, p. t. **Kobieta czasów obecnych.**

☐ Otrzymaliśmy następujące prace d-ra *Władysława Ołtuszewskiego*: **Ósmy przyczynek do nauki o zboczeniach mowy, z warszawskiego zakładu dla zboczeń mowy oraz cier-**

pień jamy noso-gardzielowej (niemota, bełkotanie, mowa nosowa, jąkanie), odbitka z **Medycyny**; oraz Kilka słów o etyologii zboczeń mowy. Odbitka z krakowskiego **Przeglądu Lekarskiego.**

□ Wyszły z druku tomy 267-my i 268-my **Biblioteki dzieł wyborowych** i zawierają Poezye *Or-Ota* oraz tom II-gi Żywota człowieka poczciwego, *Mikołaja Reja* (ze zbioru pisarzy polskich wydawanego pod kierunkiem prof. d-ra Kallenbacha).

□ **Encyklopedyi powszechnej** *S. Orgelbranda* opuścił prasę zeszyt 274-ty (tom XIV), i zawiera artykuły od Tabler do Totalizator i rysunków 24, z mapą Szwajcaryi.

Kaschman,
baryton, występujący gościnnie na scenie warszawskiej.

KRONIKA MODY.

(*L. N.*) Szybko, prawie niepostrzeżenie, jak zwykle u nas, minął wiosenny pół-sezon. Nadchodzi kwiecień z całym swym wiosennym już a młodziuchnym wdziękiem. Raz jeszcze powtórzyć możemy z poetą:

„I znowu wracasz z twym urokiem wiosno!..“

Dawniej przemieniano stroje zimowe na wiosenne i letnie w dzień Wielkiejnocy, a wiosenne i letnie na zimowe w dzień Wszystkich Swiętych; było to prawo tualetowe, uświęcone starym zwyczajem Teraz wszystko się pod tym względem najzupełniej zmieniło. Moda w tem, jak we wszystkiem, rządzi się wyłącznie kaprysem Dziś do sukni batystowej narzucamy chętnie futrzaną *étole*, a pod ciepłe futerko kładziemy koronkową leciuchną bluzkę. Kapryśna pani Moda pozwala nam na wszystkie tualetowe ekscentryczności, byleby nam było w nich ładnie, byleby się przyczyniały do podniesienia naszego kobiecego wdzięku i wrodzonej elegancyi

W obecnym sezonie hasło tualet wiosennych dały w Paryżu kapelusze; od nich zaczęto wiosenną przemianę. Filc, choćby najlżejszy, zastąpiono słomą, koronką i gazą, oraz tak niezmiernie modnym na przybrania kanausem, nazywanym *étoffe russe*.

Słoma biała, *crochet*, cieszy się olbrzymiem wzięciem. Główki płaskie, ronda duże podniesione, fantazyjnie wygięte, przybrane masą liści kwiatów lub z ogromnemi kanausowemi kokardami i draperyami, *pamplle* z tyłu spadające na uczesanie, całe zwoje fijołków lub rumianków, koronki *paillelés*, wszystko to składa się na bardzo ładne całości. W ogóle przybrania czarne z białem przeważają. Na czarnej z *paille de riz* dużej płaskiej pasterce dwa olbrzymie strusie pióra białe, spięte bukietem szarotek, są *le dernier cri* rozpoczynającego się sezonu.

Fig. I.

Woalka koniecznie w kwietniu biała, to już ze względów hygienicznych. Powietrze wiosenne i promienie słońca, padające na twarze nasze przez czarną woalkę, bardzo źle wpływają na piękność i zdrowotność cery, wywołując pryszcze, wyrzuty i czerwoność.

Obecny sezon odznacza się dużą rozmaitością i wyborem zupełnie nowych i prześlicznych materyałów.

Te wiosenne, pierwsze, które się kładze po zdjęciu futerka, przypominają materyały męzkie, tak zwane angielskie, drobniutko kratkowane. Wogóle mało używają tkanin gładkich, prócz naturalnie tych klasycznych: *serge*, *drap de dames* cienkiego jak jedwab i t. d. Wełny popielate *mouchetée* niebiesko, czerwono lub zielono - białe *pointillé* kolorem *maron* ładnie wyglądaja Modną również jest wełna *beige* przerabiana nitkami w kolorach żywych, jaskrawych. Największe wzięcie ma cienka wełna zupełnie jasna, różowa, niebieska, zielona, pokryta tysiącami małych *grains de riz* czarnych, używana jest głównie na kostiumy *trotteurs*. Przestali prawie wyrabiać alpagę gładką, obecnie alpaga jest w świecący deseń, co jej dodaje większego blasku i elegancyi, będzie bardzo nietylko na wiosnę, ale i w lecie noszona, głównie w kolorach *gris*, *mauve*, różowym, zielonym, *beige*.

Fig II.

Wogóle kolor zielony, niedawno jeszcze zupełnie wycofany z obiegu, powraca na modną widownię i to z dużem powodzeniem. Kiedyś twierdzono, że barwa zielona *porte malchance*, lecz ów *modern style*, tak rozpanoszony w ostatnich czasach w architekturze i umeblowaniach, a posiłkujący się głównie barwą zieloną, zniszczył to uprzedzenie. Kolor nadziei z mebli i ścian przedostał się wstępnym bojem na ramiona i głowy nasze, przybrał odcienia łagodne, bladawe, kwadrujące ślicznie z kolorem blado-niebieskim, popielatym, a głównie z białym.

Palącą kwetyą mody jest obecnie krój naszych spódnic. To cała rewolucya, dawno wprawdzie i przewidywana i zapowiadana, lecz niemniej przewrotowa i wstrząsająca do głębi nasz modny ustrój. Owe gładkie, obcisłe, bez żadnej fałdy lub zmarszczki należą dziś do modnej przeszłości i żadna z nas, sprawiając nową suknię, nie każe jej zrobić krojem dawnym. A szkoda... zręczne były te głaciutkie spódniczki, szczególniej dla osób tuszy średniej i niebardzo wysokich. Teraz oko przywyknąć musi do kroju nowego, a przywyknie powoli i łatwo, bo na początek tej reformy obmyślono różne pośrednie drogi. I tak: od samej talii do pół bioder szeroki okrągły, zupełnie *en forme* pas, do którego dopiero idą składki po 3 naokoło w równych prawie odstępach, albo: spódnica gładka od góry rozszerza się za pomocą *empiécements* wykonywanych najczęściej z materyi jedwabnej ciemniejszej lub jaśniejszej od materyału używanego na suknię lub też: przód i boki gładkie krojem dawnym, tył zaś w duże fałdy, składane sposobem rurkowym lub w kontrafałdy. Ten ostatni sposób jest głównie używany do przeróbek, bo te tylnie faldy można zrobić i z innego, stosownie dobranego materyału. Co zaś do długości spódnic, to już rzecz zupełnie zdecydowana i unormowana. Paryżanki noszą rano, na spacery, na ulicę, na wycieczki suknie krótkie (5 centymetrów od ziemi), a wieczorne tualety strojniejsze są jak dawniej powłóczyste aż do przesady. Oszczędne (bo są i takie) paryzanki, wymyśliły jedną bardzo niezwykłą kombinacyę, oto do zwykłej *trotteuse* spódnicy przypinają (chcąc ją uczynić strojniejszą) za pomocą zręcznie ukrytych maszynek falbanę en forme, falistą i powłóczystą. Nie wiem, czy ten sposób przyjmie się u nas.

Fig III

Kołnierze gipiurowe muślinowe i t. p., tak niezmiernie upowszechnione a adoptowane przez wszystkie nasze Marysie, uległy pod ciężarem takiego powodzenia i wyzionęły ducha. Zastąpiono je płaskiemi pelerynkami z sukna lub jedwabiu. Jasno-popielaty duży sukienny kołnierz i wyłogi oraz rozszerzone takież mankiety przy czarnym żakieciku elegancko wyglądają, bardzo odświeżając choćby zniszczony już trochę żakiet.

Oto, Szanowne Czytelniczki moje, cała wiązanka wiosennych prymulek, uszczkniętych na obszernych łanach mody, a ofiarowana z życzeniem, by Wam ułatwić mogła kłopotliwe nieraz tualetowe zabiegi

---

Figura I. *Kapelusz wiosenny.* Kształt *marquis* ze słomy *paillasson*, koloru *beige*, przybrany kanausem koloru *mastic*, z tyłu kokarda *cache peigne* z czarnej dosyć szerokiej aksamitki.

Figura II. *Suknia spacerowa dla osoby starszej.* Jedwabna popelina koloru *pusse*. Spódnica lekko powłóczysta i falująca, wycięta w okrągłe zęby, obszyte czarnym aksamitem. Stanik *veste*, przybrany według wzoru czarnemi aksamitnem i patkami, a podszyty koronką gipiurową koloru *bise*, haftowaną różnokolorowemi jedwabiami. Rękawy po za łokieć, rozszerzone i zakończone ranwersem, a podszyte takąż samą haftowaną gipiurą. Pod stanikiem plastron i kołnierz z białej krepy. Toczek biały słomiany przybrany czarną sznelą *paillelé*.

Figura III. *Kostium spacerowy wiosenny.* Sukno lekkie koloru *poussière*. Krótki wolny kaftanik, obszyty białą jedwabną taśmą, na piersiach przybranie, a zarazem spięcie dwoma sporemi *pampilles*, złączonemi sznurem, rękawy gładkie od góry, rozszerzone stopniowo, a ujęte w dosyć szeroki mankiet. Plastronik biały atłasowy, naszyty wraz z prostym kołnierzykiem sutaszem koloru *poussière*. Kapelusz *paille rousse*, talerzykowaty, ozdobiony płasko rozpostartym ptakiem. Spódnica *trotteuse*, obcisła z przodu i na bokach, z tyłu zaś parę zręcznie ułożonych fałd.

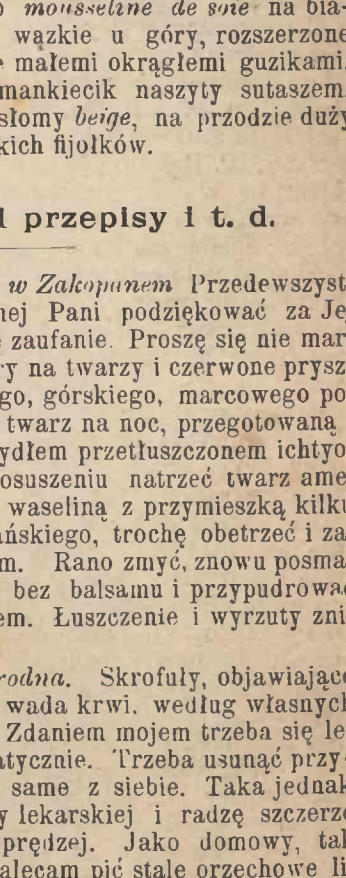

Fig IV.

Figura IV. *Kostium spacerowy wiosenny.* Lekka wełna *beige*. Spódnica *trotteuse* z fałdami z tyłu, u dołu z małym odstępem pliska z *gros grain* w cieniu ciemniejszym. Stanik *veste* z długą baskiną, przy niej parę składek płaskich z przodu i z tyłu. Stanik wycięty *en pointe* z wyłogami tworzącemi z tyłu kołnierz. Plastron z białego *mousseline de soie* na białym jedwabiu. Rękawy wązkie u góry, rozszerzone stopniowo i jakby spięte małemi okrągłemi guzikami, a wszyte w niewielki mankiecik naszyty sutaszem. Kapelusz z fantazyjnej słomy *beige*, na przodzie duży bukiet bladych parmeńskich fijołków.

Odpowiedzi przepisy i t. d.

Pani Wandzie Z. w Zakopanem Przedewszystkiem winnam Szanownej Pani podziękować za Jej wielce mi pochlebiające zaufanie. Proszę się nie martwić, łuszczenie się skóry na twarzy i czerwone pryszczyki pochodzą z ostrego, górskiego, marcowego powietrza. Należy myć twarz na noc, przegotowaną i dobrze ciepłą wodą i mydłem przetłuszczonem ichtyolowem; po dokładnem osuszeniu natrzeć twarz amerykańską przezroczystą waselinę z przymieszką kilku kropel balsamu peruwiańskiego, trochę obetrzeć i zasypać pudrem cynkowym. Rano zmyć, znowu posmarować waselina czystą bez balsamu i przypudrować czystym ryżowym pudrem. Łuszczenie i wyrzuty znikną niezawodnie.

Pani K. Z. z Grodna. Skrofuły, objawiające się w ten sposób, to już wada krwi, według własnych słów Szanownej Pani. Zdaniem mojem trzeba się leczyć poważnie i systematycznie. Trzeba usunąć przyczynę, a skutki znikną same z siebie. Taka jednak kuracya wymaga porady lekarskiej i radzę szczerze udać się po nią jaknajprędzej. Jako domowy, tak zwany babski środek zalecam pić stale orzechowe liście i bratki (odwar) z domieszką mleka. Wogóle mleko, pite systematycznie i obficie, bardzo oczyszcza krew.